

WOJNA
ROSJI Z UKRAINĄ

1 września 2009 r.
Tusk i Putin na moło
w Sopocie

Najlepsi pomocnicy Putina

Czy ci, którzy tak długo udawali, że nie ma za wschodnią granicą prawdziwego zagrożenia, twierdzili, że jest jedynie widmo, jakaś „płatka”, że prawdziwy wróg jest tylko w Polsce, nie powinni po prostu wyznać swoich win, przyznać się do strasznego w skutkach błędu bodaj przeprosić jego ofiary? Nie tracę nadziei, że to możliwe



ANDRZEJ NOWAK

Polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce

falszywe poczucie bezpieczeństwa [...]. Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy łaskę Amerykanom. Frajerzy. Kompletni frajerzy. Problem w Polsce jest taki, że mamy bardzo płytką dumę i niską samoocenę. Taka murzyńskość”. Radosław Sikorski potwierdził te słowa i z dumą autoryzował w rozmowie z opozycyjnym węgierskim

portalem Valasz Online. Minister kształtujący politykę zagraniczną Polski w latach 2007–2014 wyjaśnił przy tej okazji zasady owej polityki wobec Rosji: „Robisz pozytywny ruch i czekasz na reakcję drugiej strony. Naszym pozytywnym ruchem było wycofanie polskiego weta wobec przyjęcia Rosji do OECD. To był ruch, który nic nas nie kosztował, ponieważ w naszym interesie jest zintegrowanie Rosji z zachodnimi

instytucjami, których członkowie przestrzegają zasad”. Co dostaliśmy w zamian? Minister rządu Tuska nie ma wątpliwości: warto było – bo dostaliśmy w zamian wizytę premiera Putina na Westerplatte 1 września 2009 r., a także „z moim rosyjskim kolegą Siergiejem Ławrowem przekonaliśmy ministrów spraw wewnętrznych UE, by zmienić zasady i ustanowić lokalny, bezwizowy ruch przygraniczny dla 3 mln Polaków i Rosjan z obwodu kaliningradzkiego, co było ogromnym sukcesem”. Dziennikarz węgierski zapytał Sikorskiego, czy po agresji Rosji na Krym i Donbas nie uważa tej polityki wobec Putina za klęskę. Talleyrand Tuska odpowiedział: „Nie, ponieważ zawsze trzeba próbować. Dokonałem również otwarcia w stosunku do Łukaszenki, bez wielkich nadziei, że to zadziała, a jednak zadziałało, ponieważ pomogło Łukaszence w jego manewrach wobec Moskwy”.

Po pełnym potwierdzeniu prawdziwości swoich nagranych słów o „szkodliwości polsko-amerykańskiego sojuszu” Sikorski potwierdził także swoją opinię, że jeśli nawet PiS zdołało po 2015 r. sprowadzić amerykańskich żołnierzy i bazy do Polski, to i tak nie jest to żaden sukces ani gwarancja bezpieczeństwa. Dziennikarz węgierski skonkludował, że sternik polskiej polityki zagranicznej w latach 2007–2014 nie wierzy widocznie w skuteczność art. 5 paktu NATO. I Sikorski tę konkluzję otwarcie potwierdził. To było ledwie trzy lata temu: rozmowa z Valasz Online odbyła się w grudniu 2018 r.

* * *

Jak byśmy się czuli dzisiaj, w marcu 2022 r., gdyby nie było na naszej ziemi amerykańskich baz i żołnierzy, gdybyśmy uznali, że sojusz z Ameryką to „bullshit kompletny”? Czy cokolwiek mogłoby powstrzymać Putina przed użyciem jego armii i bardziej (niż na Ukrainie) zaawansowanych broni przeciw Warszawie, kiedy widzimy, jak już zabija „braci” w Kijowie? To pytanie warto zadać w kontekście innego, równie ważnego: jakie są skutki tej polityki, którą Donald Tusk i jego minister realizowali wobec Rosji Putina w okresie najbardziej zuchwałych postępów jej agresji w naszym najbliższym sąsiedztwie, w latach 2007–2014?

O tym, że Putin reprezentuje tradycje KGB i najbardziej zaborczego imperiali-

zmu rosyjskiego, wiedział każdy, kto miał oczy i uszy otwarte – od samego początku jego niespodziewanej kariery jako wodza imperium: od kosztujących życie setek Rosjan zamachów bombowych, jakimi torował sobie drogę do zwycięstwa w wyborach prezydenckich roku 2000; poprzez dziesiątki tysięcy zabitych na jego rozkaz Czeczeńców (terrorem na taką skalę udało mu się przerobić Czeczenię w zaplecze kadrowe służącej mu armii morderców). Po zabiciu kilkuset dziennikarzy, opozycjonistów na urodziny w październiku 2006 r. Władimir Władimirowicz otrzymał specjalny prezent: głowę Anny Politkowskiej, najdzielniejszej dziennikarki tropiącej jego zbrodnie. 10 lutego 2007 r. na konferencji w Monachium Putin otwarcie wypowiedział wojnę Europie i Ameryce, zimną wojnę – ale nie ukrywał, że Zachód jest dla jego Rosji śmiertelnym wrogiem i tak będzie traktowany. To już był przełom, który trudno było przeoczyć inaczej niż ze złą wolą, wolą udawania, że „nic się nie stało”. Szukanie w takiej sytuacji współpracy z Putinem było „więcej niż zbrodnią – było błędem”.

I ten błąd postanowił popełnić Donald Tusk, budujący totalną alternatywę wobec wszystkiego, co robił jego wewnętrzny rywal: PiS. W tym wobec polityki wschodniej, realizowanej przez rząd PiS, zgodnie z minimalnym konsensem, przestrzeganym w zasadzie przez wszystkie rządy polskie po 1991 r. Ów konsens, symbolicznie nazywany linią Giedroycia, można streścić tak: budujmy najpierw stabilne, jak najlepsze relacje z Litwą, Białorusią i Ukrainą, by potem ewentualnie próbować rozmawiać z Rosją. Nie odwrotnie. Z Białorusią się nie udało. Nie z polskiej winy raczej. Z Litwą bywało trudno, ale w kwestiach polityki międzynarodowej do 2008 r. łączyła nas z Wilnem bardzo efektywna współpraca – zwłaszcza we wspólnym wydaniu prezydentów Kaczyńskiego i Adamkusa. Najważniejsza jest w tym pasie naszych wschodnich sąsiadów oczywiście Ukraina. I to uznawali wszyscy kolejni premierzy rządów RP.

To właśnie postanowił przekreślić Donald Tusk po wygranych jesienią 2007 r. wyborach, odcinając się od tej linii politycznej, którą wciąż reprezentował prezydent Kaczyński. „Moskwa najpierw!” – to było hasło nowej polityki wschodniej, jakiej nie żyrował wcześniej nawet rząd

Oleksego czy Cimoszewicza. I tam też najpierw, a nie do Kijowa, w odróżnieniu od wszystkich bodaj swoich poprzedników od czasów Jana Olszewskiego, pojechał w lutym 2008 r. Tusk. Jeden z najbliższych jego doradców, Bartłomiej Sienkiewicz, uczynił swym znakiem firmowym odrzucenie „dogmatu Giedroycia” i „chłodny realizm” w stosunkach z Ukrainą zwłaszcza. Radosław Sikorski natomiast reprezentuje konsekwentnie jedną myśl: rozmawiać trzeba z silniejszymi sąsiadami, z Rosją i Niemcami, nawet na kolanach (tu „murzyńskość” nie jest problemem), na słabszych można krzyczeć albo ich zignorować. Wyłożył to nawet w ministerialnym exposé w Sejmie (w marcu 2011 r.), kiedy stwierdził, że miejsce naszych partnerów w polityce zagranicznej powinien wyznaczać po prostu poziom ich PKB: „Nasz PKB to jedna trzecia gospodarki rosyjskiej, ale przewyższa ukraiński PKB dwa i pół razy, a litewski trzynaście razy”. Twardy realizm. Oznaczał on wprost zadeklarowaną stawkę na Moskwę. Pomarańczowa rewolucja skompromitowała się sama. Stany Zjednoczone wycofały się z czynnej polityki w Europie Wschodniej. Nikt w Europie nie chce „rusofobicznej” Polski. To były trzy istotne argumenty, które miały dodatkowo wspierać ten zwrot. Te argumenty służyły w istocie rozścieleniu czerwonego dywanu pod nogami jednego tylko partnera na Wschodzie: Władimira Putina. Taki wybór miał jednak swoje konsekwencje.

Kiedy Putin na początku 2008 r. pierwszy raz przystawił pistolet gazowy premier Ukrainy Julii Tymoszenko do głowy, nowy minister Radosław Sikorski manifestacyjnie przyjechał do Moskwy, nie do Kijowa. „Polska bliżej Rosji w gazowym konflikcie z Ukrainą” – pod takim tytułem „Wall Street Journal” w polskiej edycji komentował tę wizytę (22 stycznia 2008 r.). Siergiej Ławrow wykorzystał ową wizytę, by przekonać Ukraińców, że gaz z Rosji do odbiorców w Niemczech czy Austrii nie musi płynąć przez Ukrainę, ale można ją ominąć – przez Polskę. Nasz kraj wystąpił w tej argumentacji w roli, w jakiej występuje w następnych latach Nord Stream 2. Oczywiście polski rząd był tego świadomy, ale polityka zagraniczna, a nawet polska racja stanu została przezeń całkowicie podporządkowana logice plebiennej wojny wewnętrznej. Do jakich

rezultatów to prowadziło, świadczy nie tylko powszechnie znana umowa gazowa podpisana przez wicepremiera tego rządu Waldemara Pawlaka z Gazpromem. Przypomnijmy, że w ślad za Sikorskim do Moskwy udał się Tusk. W czasie tej wizyty, 10 lutego 2008 r., Putin miał zaproponować polskiemu premierowi udział w rozbiórce Ukrainy. Tak to relacjonuje Sikorski: „Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie Putin powiedział premierowi Donaldowi Tuskowi w czasie jego pierwszej wizyty w Moskwie. Mówił, że Ukraina jest sztucznym krajem, a Lwów jest polskim miastem i dlatego by nie załatwić tego wspólnie”. Tusk nie odpowiedział. Ale też z tej niepozabawionej przecież znaczenia propozycji nie przekazał żadnej notatki ani prezydentowi Kaczyńskiemu, ani nie poinformował o takich sugestiach Kijowa. Za to kiedy Sikorski w 2014 r. ujawnił w rozmowie z portalem „Politico” ten fakt, kompromitujący totalnie Tuska jako poważnego i lojalnego wobec własnego państwa polityka, premier zmusił natychmiast swojego podwładnego do żalostnego odszczekania niewygodnej informacji.

Jak było naprawdę? Naprawdę było jasne, że Tusk zabiegał z wszystkich sił o to, by móc udowodnić, iż zdoła zaprosić Putina do Polski i pokaże, że potrafi osiągnąć to, czego „nieudacznicy” z PiS nigdy nie potrafili: reset z Kremlem. Na przywitanie Władimira Putina na polskiej ziemi, na Westerplatte, 1 września 2009 r., minister Sikorski ogłosił w „Gazecie Wyborczej” najbardziej haniebnym w historii polskiej dyplomacji po 1991 r. tekst, w którym stwierdził, iż Rosja nigdy tak jak w tym momencie nie hołdowała zasadom wolności i demokracji i nigdy nie była w tak dobrych stosunkach z Polską. Dlaczego pozwoliłem sobie nazwać ten tekst tak stanowczo? W tym samym bowiem czasie, w końcu sierpnia 2009 r. dogorywał w więzieniu moskiewskim prawnik Magnicki, jedna z najbardziej znanych na świecie ofiar bezwzględności reżimu Putina; wtrącono właśnie do obozu wybitnego historyka (M. Suprun) za ujawnianie prawdy o Gulagu. Na ulicach Moskwy przedstawiciele mniejszości narodowych

byli akurat wtedy dziesiątkami zabijani przez związaną z milicją organizację Białe Wilki. I o tym wszystkim wiedzano i mówiono. Dokładnie też w tym samym czasie armia rosyjska na manewrach przy granicy z Polską ćwiczyła – całkiem oficjalnie, w obecności obserwatorów z NATO – rozwinięcie akcji po taktycznym ataku nuklearnym na Warszawę. Tak jest! Dziś taki scenariusz bierzemy już na serio...

Płaszczanie się przed Putinem w owym momencie miało usprawiedliwiać to, że udało się doprowadzić do jego obecności na uroczystościach, które przypominają zasadniczy fakt historyczny, iż II wojna zaczęła się od napaści na Polskę. Zatem wygramy ważną batalię w polityce histo-

**Radosław Sikorski
reprezentuje konsekwentnie
jedną myśl: rozmawiać trzeba
z silniejszymi sąsiadami,
z Rosją i Niemcami, nawet na
kolanach (tu „murzyńskość” nie
jest problemem), na słabszych
można krzyczeć albo ich
zignorować**

rycznej! Co jednak powiedział na Westerplatte Putin? Coś, co zaszokowało media światowe (sprzyjające rządowi Tuska media w Polsce niemal całkowicie ten najważniejszy aspekt przemówienia Putina przemilczały): II wojna światowa to skutek niesprawiedliwego potraktowania dwóch wielkich państw, Rosji i Niemiec, przez zwycięskie w I wojnie światowej mocarstwa zachodnie. Niemcy i Rosja miały pełne prawo się porozumieć, by tę niesprawiedliwość naprawić... Tyle jeśli idzie o sukces w dyplomacji historycznej.

Nas jednak interesuje tutaj sprawa Ukrainy. Hołdowniczy sposób potraktowania Putina przez Tuska i Sikorskiego na Westerplatte kontrastował najmocniej z lekceważeniem okazanym przez polskiego premiera i ministra obecnej tam

również premier Ukrainy Tymoszenko. Minister Sikorski w swoim programowym artykule o nowej polityce wschodniej nawet nie wymienił Ukrainy – na wschód od Polski była tylko wielka Rosja. Sikorski udzielił wtedy (31 października 2009 r.) obszernego wywiadu dziennikowi ojca Rydzyka (tak jest!), „Naszemu Dziennikowi”, w którym stwierdził z dumą: „Chyba się nie mylę, że rozróżnienie na fazę piastowską i jagiellońską naszej strategii narodowej właśnie ja wprowadziłem do dyskusji publicznej”. Oczywiście reprezentował tę słuszną fazę, „piastowską”, oznaczającą odwrócenie się od „jagiellońskich mrzonek”, czyli aktywnej polityki wschodniej. Wschód Europy dla Moskwy – to jest prosta konsekwencja tego wyboru.

Tak radykalne odwrócenie się Polski od Ukrainy miało na pewno jakiś wpływ na nastroje nad Dnieprem. Czy przyczyniło się do ówczesnego zwycięstwa proputinowskiego Janukowycza nad Tymoszenko w wyborach prezydenckich? W każdym razie było przez proeuropejsko nastawionych Ukraińców dostrzegane – boleśnie. „Nowy układ warszawski” – tak zatytułował jeden ze swoich numerów największy, liberalny (nie żaden „banderowski”) tygodnik kijowski, „Ukraiński Tydzień”, publikując na stronie tytułowej wielkie zdjęcie uścisku dłoni Tuska i Putina. Podtytuł, także na okładce, dopowiadał: „Rząd Donalda Tuska popadł w dziwną zależność od Kremla. To stanowi zagrożenie tak dla Polski, jak i dla Ukrainy”.

Rząd Tuska był konsekwentny. W imię „resetu” z Putinem rozwałił nie tylko system energetycznej współpracy, jaki zaczął montować prezydent Kaczyński z udziałem Azerbejdżanu, Gruzji, Ukrainy i Litwy, ale również zdecydował się postępować zgodnie z opisaną powyżej „doktryną Tuska-Sikorskiego” w sprawie projektu tarczy antyrakietowej, której istotny element Amerykanie zamierzali umieścić w Polsce. Kiedy tylko utworzony został rząd Tuska, zaczął on prace nad tym projektem wstrzymywać. Już w grudniu 2007 r. Sikorski zaprosił na rozmowy o tarczy... wiceszefa dyplomacji Putina. Zapytany przez dziennikarzy (PAP i TVN) o sens tego kroku, odpowiedział: „To jest



28 października 2010 r. Sikorski i Ławrow na balkonie warszawskiego Pałacu na Wodzie. „Relacje polsko-rosyjskie – mimo turbulencji – są dojrzałe” – mówił pół roku po katastrofie smoleńskiej szef polskiego MSZ

kurtuazja, ale w bardzo ważnej sprawie, w której nasz sąsiad wyraża bardzo kateryczne zdanie, więc chcemy go wysłuchać [...] Lepiej rozmawiać, niż nie rozmawiać. [...] Kraje, które się samoizolują, nie mają dobrej opinii”. Tak właśnie powiedział: Polska, która nie zapytałaby Putina o zdanie w sprawie swojego bezpieczeństwa, byłaby narażona na „samoizolację” i na utratę „dobrej opinii”. Trudno coś dodać do tej autocharakterystyki linii politycznej Tuska-Sikorskiego.

Pewne światło na ciąg dalszy rzuca jednak depeza amerykańskiego ambasadora w Warszawie V. Ashe’a, ujawniona przez WikiLeaks: „Prezydent Kaczyński nie chce, żeby tarcza antyrakietowa stała się przedmiotem rozgrywki w Polsce i jest gotów oddać sukcesuskowi i Sikorskiemu za zawarcie porozumienia, byle tylko było zawarte”. Biedny prezydent Kaczyński myślał, że chodzi tylko o walkę PO z PiS.

Mylił się. Nie po raz ostatni. W sierpniu 2008 r. doszło do podpisania umowy w sprawie tarczy antyrakietowej. Prezydent dziękował wylewnie Sikorskiemu za współudział w tym sukcesie. Niestety rząd Tuska zrezygnował z przeprowadzenia ratyfikacji tej umowy przez następnych 13 miesięcy. Aż się doczekał, 17 września 2009 r., rezygnacji prezydenta Obamy z tego projektu. Tu nie wykazaliśmy żadnej „murzyńskości”.

Dlaczego rząd Tuska odrzucił możliwość wzmocnienia naszej obrony od strony agresywnego rosyjskiego imperializmu? Bo udawał, że takiego problemu nie ma. A udawać musiał coraz beczelniej. W tym samym sierpniu 2008 r. przecież rosyjskie kolumny pancerne ruszyły na Tbilisi. Zatrzymała je bezprecedensowa akcja dyplomatyczna prezydenta Kaczyńskiego, z której dziś przypominamy sobie te słowa: „...dziś Gruzja, jutro Ukraina, po-

jutrze państwa bałtyckie...”. A więc okazało się, że Putin jest zdolny do militarnej napaści na sąsiedni kraj i zmiany granic takim sposobem. I co z tego? Kiedy w listopadzie 2008 r. Lech Kaczyński pojechał wesprzeć ponownie zagrożoną Gruzję i konwój wiozący polskiego prezydenta w pobliżu stacjonowania najeźdźczych wojsk rosyjskich został ostrzelany, wtedy Bronisław Komorowski błysnął takim bon motem: „Jaka wizyta, taki zamach, no bo z 30 metrów nie trafić w samochód, to trzeba ślepego snajpera...”. Wicemarszałek Sejmu RP stwierdził, że nie można wierzyć prezydentowi RP, nawet kiedy ktoś do głowy państwa polskiego niewątpliwie strzela. To przecież nie mogli być Rosjanie...

W końcu stycznia 2010 r. – w kolejnym geście przyjaźni wobec Putina – rząd Tuska zgodził się na umorzenie stwierdzonego prawomocnym wyrokiem długu Gazpromu za przesył gazu na zachód Europy przez Polskę w wysokości przekraczającej 1 mld zł. Smoleńsk wart jest więcej. Smoleńsk, czyli inicjatywa Tuska, by niezależnie od planowanej od dawna wizyty prezydenta Kaczyńskiego w Katyniu z okazji 70. rocznicy zbrodni zorganizować własną, ważniejszą – bo zaszczyconą obecnością samego Putina. Od grudnia 2009 r. najbliższy współpracownik premiera, szef jego kancelarii Tomasz Arabski, prowadził rozmowy z przedstawicielami Rady Ochrony Pamięci w sprawie przygotowań do wizyty w Katyniu, a jednym z głównych scenariuszy był wspólny w niej udział premiera i prezydenta. I już wtedy Arabski został ostrzeżony przez ministra prezydenckiego Mariusza Handzlika o próbie rozgrywania przez Putina konfliktu wewnątrzpolskiego przez organizację wizyty w Katyniu. Ta gra była oczywiście widoczna już wcześniej, podczas organizacji wizyty premiera Putina na uroczystościach 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte.

Tak się złożyło, że miałem okazję w tym czasie przeprowadzić obszerną rozmowę z prezydentem Lechem Kaczyńskim (publikowaną później w „Arcanach”). Warto przytoczyć jego komentarz do tamtej sytuacji: „Moskwa grała teraz wyraźnie w taki sposób, by nie było tego strasznego prezydenta Kaczyńskiego w czasie obchodów 1 września w Gdańsku: albo będzie

Kaczyński, albo przyjedzie Putin. Na szczęście tego Tusk nie dał sobie narzucić, by Moskwa decydowała, gdzie w kraju wolno być prezydentowi, a gdzie nie. Tak to mogło być w 1944 czy 1945 roku”. Jakże prezydent naiwnie nie docenił Donalda Tuska... Albo jakże Donald Tusk naiwnie nie docenił Putina?

„Wydarzyła się” (sama?) katastrofa smoleńska. Wszędzie tam, gdzie wcześniej oglądano się na Warszawę z nadzieją na oparcie, oparcie przez Polskę na Europie wobec rosnącego nacisku neoimperialnej Moskwy – w Kijowie, ale także w Tbilisi czy Wilnie – nikt nie miał wątpliwości, że ręka służb specjalnych imperium jest zdolna do wszystkiego. Wszędzie, ale nie w Warszawie. W maju 2010 r. do Polaków zwróciło się w liście otwartym kilku wolnych Rosjan, m.in. Władimir Bukowski czy Natalia Gorbaniewska. Warto zacytować słowa z ich listu: „Trudno się pozbyć wrażenia, że dla rządu polskiego zbliżenie z obecnymi władzami rosyjskimi jest ważniejsze niż ustalenie prawdy w jednej z największych tragedii narodowych”. Nie ma prostszego i dosadniejszego określenia tego, co stało się między Polską a Rosją w sprawie tragedii smoleńskiej. Rezygnacja rządu Tuska z możliwości wyświeślenia prawdy o katastrofie smoleńskiej poprzez śledztwo międzynarodowe, ze wsparciem sojuszników z NATO, a nawet z domagania się najbardziej elementarnej przyzwoitości w postępowaniu strony rosyjskiej w tej sprawie – wszystko to przekonywało mieszkańców Europy Wschodniej, że na Polskę w dążeniu do tego, żeby było tam więcej Europy, a mniej posowieckiego Wschodu, nie mogą liczyć.

Potem przyszły kolejne, jakże symboliczne upokorzenia. W ramach „pogłębiania przyjaźni” z Moskwą nie tylko oddano śledztwo w sprawie śmierci 96 polskich obywateli, w tym prezydenta, w ręce najbardziej łajdackiego systemu prokuratury na świecie (na jego czele stał prokurator Czajka, ten sam, który z ramienia Putina nadzorował „śledztwa” w sprawie zabójstwa Poltkowskiej, Litwinienki, a także „zbrodni” Chodorkowskiego). Rząd Tuska poszedł dalej. Zaprosił nie kogo innego jak


Ławrowa do wygłoszenia dla wszystkich polskich ambasadorów, zwołanych specjalnie po to do Warszawy, instruktażu na temat sposobów prowadzenia skutecznej dyplomacji. Tego na pewno można się było uczyć od godnego następcy Mołotowa. Podobnie jak techniki organizowania wyborów od szefa Centralnej Komisji Wyborczej Federacji Rosyjskiej, odznaczono przez prezydenta Putina orderem Aleksandra Newskiego za sprawnie przeprowadzone akcje fałszowania wyborów w Rosji. Polska Donalda Tuska zaprosiła tego właśnie specjalistę, by wyszkolił nasze komisje wyborcze. W końcu Putin, już dla otwartego szyderstwa, ogłosił w maju 2013 r., że zobowiązuje FSB do zawarcia formalnej umowy z polską Służbą Kontr-

Konsens przestrzegany w zasadzie przez wszystkie rządy polskie po 1991 r., symbolicznie nazywany linią Giedroycia – czyli budujmy najpierw jak najlepsze relacje z Litwą, Białorusią i Ukrainą, by potem ewentualnie próbować rozmawiać z Rosją, nie odwrotnie – przekreślił Donald Tusk

wywiadu Wojskowego, co przypominało, że służby te (kontynuatorka zbrodniczej KGB i służba mająca zabezpieczać polskie państwo) współpracują już „mniej formalnie” od pewnego czasu. Jak pisała wówczas „Rzeczpospolita”, „według nieoficjalnych informacji FSB mogła dzięki tej umowie prowadzić szerokie i nie do końca kontrolowane działania w Polsce”. Donald Tusk się wtedy od sprawy odciął. Ale czy może się odciąć od całości polityki „resetu” z Putinem, a przede wszystkim od jej skutków?

Przypomnieliśmy garść faktów już z czasu, kiedy Putin przygotowywał nową otwartą agresję na Kijów. Gdy w listopadzie 2013 r. PiS stwierdziło potrzebę udzielenia efektywnej pomocy dyplomatycznej

walczącej na Majdanie o niepodległość Ukrainie, minister Sikorski zareagował natychmiast swoim słynnym tweetem: „Oczekuję od polityków PiS deklaracji, ile polskich miliardów chcą wpompować w skorumpowaną gospodarkę UKR”. Krótko i na temat. Ale może niezbyt dyplomatycznie. Gdyby jednak wtedy, zamiast nienawistnej polemiki z wewnętrzną opozycją, minister spraw zagranicznych największego europejskiego (należącego do Unii) sąsiada Ukrainy zajął się korektą swej fatalnej polityki i organizowaniem nacisku na oficjalny Kijów w celu wyjścia z kryzysu, może nie byłoby tego, co jest dzisiaj? Na początku grudnia 2013 r. minister Sikorski niespodziewanie pojawił się na posiedzeniu sejmowej grupy ds. Ukrainy. Przyszedł, żeby zabłysnąć kolejnym bon motem: „Mówić, że gospodarka ukraińska nie jest skorumpowana, to tak jakby mówić, że Julia Tymoszenko jest dziewicą”. Potem poprawił, że nie żartował z dziewictwa znajdującej się akurat w więzieniu ukraińskiej byłej premier, ale miał na myśli tylko jej... uczciwość. Krytykę ze strony opozycji dla tych mało dyplomatycznych sformułowań odrzucił w sposób wiele mówiący o stanie polskiej debaty politycznej: „PiS przestaje myśleć, kiedy przychodzi do relacji z Rosją. Wystarczy zamachać czerwoną płachtą rosyjską. To są odruchy niewolnika, który musi pokazać, że w ogóle istnieje”.

Dobrze, że jeszcze ukraińscy „niewolnicy” walczą. „Płachta rosyjska” jest już dostrzegana wyraźnie. Ale za jaką cenę? Czy nie powinni zastanowić się nad tym ci, którzy tak długo udawali, że nie ma za wschodnią granicą prawdziwego zagrożenia, twierdzili, że jest jedynie widmo, jakaś „płachta”, że prawdziwy wróg jest tylko w Polsce? Może powinni po prostu wyznać swoje winy, przyznać się do strasznego w skutkach błędu, bodaj przeprosić jego ofiary? Nie tracę nadziei, że to możliwe. Na pewno jest potrzebne. Obawiam się jednak, że oczywiście łatwiej jest z pomocą wiernych w kłamstwie mediów i niezdolnych do refleksji emocjonalnych zakładników znaleźć wytłumaczenie i wskazać winnych tam, gdzie zawsze: w PiS, w tak pogardzanych przez tę „elitę dyplomacji” polskich „niewolnikach”. 

Autor jest historykiem, sowietologiem, publicystą, profesorem nauk humanistycznych